

Jaguar jechał wolno szosą pośród rozległych łąk. Giovanni prowadził jedną ręką. Wskazał na laptopa i zawołał roześmiany:

– Są jak włoska rodzina!

Federico słuchał transmisji w skupieniu.

– Mają włoskie geny – zauważył poważnie. – I greckie.

W samochodzie rozległo się brzęczenie osy.

Giovanni natychmiast spowaźniał i rozejrzał się nerwowo.

– Gdzie ona jest? – zaniepokoił się. – Nie widzę jej!

Jego towarzysze nie zwracali na niego uwagi, wciąż zapatrzeni w ekran.

Brzęczenie przybrało na sile. Zdenerwowana osa, szukając drogi ucieczki, odbijała się od szyb. Giovanni dostrzegł ją przelatującą w pobliżu jego głowy.

– Nie! – wrzasnął desperacko, oganiając się wolną ręką.

Jaguar przyśpieszył gwałtownie i zaczął zygzakować na wąskiej jezdni, jakby intencją kierowcy było pozbycie się owada za pomocą siły odśrodkowej. Marco i Federico zaparli się rękami. Laptop spadł na podłogę, pokrywa zamknęła się z trzaskiem. Spanikowany Giovanni nie pamiętał już o prowadzeniu.

– Kierownica, do cholery! – wrzasnął na niego Federico.

Wóz zahaczył dwoma kołami o krawędź rowu, wpadł w lekki poślizg i odbił na drugą stronę szosy.

Marco dał nura między fotele. Złapał za kierownicę i próbował zapanować nad kierunkiem jazdy.

– Przełoń ją! – błagał go Giovanni. – Ugryzie mnie! Gdzie ona jest? – krzyczał histerycznie.

– Rozbijesz nas, durniu! – zawołał Marco.

– Giovanni, opanuj się! – dołączył do niego Federico.

Jadący zygzakiem jaguar odbił od przeciwnego rowu i wszedł w zakręt akurat w chwili, gdy naprzeciwko niego wyrosła sylwetka ogromnej ciężarówki.

Mignęła przestraszona twarz kierowcy, rozległo się donośne buczenie klaksonu.

Federico zasłonił twarz rękami, Marco, jęcząc z wysiłku, skręcił kierownicę.

Jaguar przejechał przed maską nadjeżdżającej ciężarówki, przeskoczył przez płytki rów, wyjechał na łąkę i zarył w miękkiej ziemi tuż przed pniem starego dębu. Gwałtownie pchnięte drzwi od strony kierowcy otworzyły się z impetem, z wozu wyskoczył Giovanni. Nie przestając machać rękami, rzucił się do ucieczki.

W kabinie zapadła cisza. Śmiertelnie blady Marco opadł na tylne siedzenie.

Federico oddychał głęboko, trzymając się za serce. Po chwili sięgnął do kieszeni marynarki, wyjął małe pudełko, wyciągnął i połknął różową tabletkę.

Giovanni wrócił po chwili i ostrożnie zajrzał do środka.

– Poszła sobie? – zapytał.

– Poleciała – sprostował odruchowo Marco.

– Omal nas nie zabiłeś, idioto! – powiedział stary Włoch.

– Łatwo wujowi mówić! A ja bym umarł – poskarżył się Giovanni. – To była osa czy pszczoła? Polskie są gorsze od włoskich.

- A to dlaczego? – zainteresował się Marco.
  - Czytałem o tym przed wyjazdem – oświadczył jego kuzyn, wsiadając za kierownicę. – Muszą przetrwać ciężki klimat, twarde są jak najemnicy. Albo jak polskie kobiety. Jedno ukąszenie i duszę się na śmierć.
- Federico podniósł i otworzył laptopa.  
Z głośnika dobiegł głos kustosza.
- Czy pozwoli pani, że zabiorę moje sztychy?

\*\*\*

- Ewa, Iza i Adam Dąbrowa patrzyli zaskoczeni na Maurycego Podreckiego, który tymczasem wrócił i zatrzymał się za progiem drzwi.
- Ewa w pierwszej chwili nie wiedziała, co odpowiedzieć. Spojrzała na wiszące na ścianie dwa sztychy, które pokazywał kustosz. Na jednym widniał Krzyżtopór przed zburzeniem, drugi przedstawiał poziomy plan pałacu. Poczula opór przed oddaniem pamiątek po Zofii.
- Teraz? Tak od razu? – zapytała z ociąganiem.
- Podeszła, przyjrzała się z bliska. Podrecki poszedł w jej ślady.
- Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu... – powiedział z drżeniem w głosie, zdradzającym silne emocje.
- Ewa była zdziwiona jego reakcją. Sztychy nie przedstawiały wielkiej wartości, ale może kustosz rzeczywiście był przywiązany do Zofii?
- To plan z epoki... – powiedziała.
- Podrecki pokiwał głową w milczeniu. Spuścił oczy, żeby nie ujawnić pożądanego błysku. Gdyby ta kobieta domyśliła się, że plan jest kluczem do jednego z największych skarbów w historii świata, z pewnością znalazłaby pretekst, aby go zatrzymać.
- Testament powinien się uprawomocnić – stwierdził mecenas Dąbrowa.
- Kustosz zadrżał. Musiał odchrząknąć, by uwolnić uwięziony w gardle głos.
- Pani Zofii bardzo zależało, żeby muzeum włączyło te sztychy do swojej kolekcji jak najprędzej. Pragnęła je nam podarować. Niestety, nie zdążyła.
- Ewa powróciła na środek salonu.
- Proszę, niech pan je weźmie – powiedziała niechętnie.
  - I instrumenty, ze skrzynią. – Podrecki wskazał na zabytkowy mebel pod oknem.
- Jego pośpiech był irytujący. Ewa usłyszała głos, który mówił z naciskiem w jej głowie: Nie oddawaj sztychów i instrumentów! Zdarzało jej się czasem usłyszeć taki imperatyw; miała wówczas wrażenie, że druga, ukryta w niej Ewa, stara się nią kierować. Często okazywało się, że miała rację, lepiej rozumiała sytuację, była mądrzejsza. Ta pierwsza nieraz żałowała, że nie posłuchała. Za każdym razem, kiedy dopadał ją ten stan ducha, Ewa odczuwała dziwny niepokój.
- Chciałabym jeszcze rzucić na nie okiem – oświadczyła, żeby zyskać na czasie.
- Kustosz wykonał zapraszający gest.
- Ależ oczywiście.

Podeszła do okutej żelazem skrzyni, otworzyła. Wyjęła i położyła na podłodze trzy stare instrumenty pomiarowe, wykonane z mosiądzu i drewna.

– Piękne! – powiedziała cicho Iza.

– Wyglądają na renesansowe – stwierdziła Ewa.

\*\*\*

Trzej Włosi słuchali w skupieniu.

– Będą ozdobą naszego muzeum – oświadczył z dumą Podrecki.

Pomimo zniekształceń dźwięku, w jego głosie wyczuwało się napięcie.

Federico odetchnął z ulgą.

– Za pomocą tych instrumentów przeniesiemy horoskop na plan zamku? – zapytał Marco.

Jego wuj z satysfakcją pokiwał głową.

– To znaczy, że mamy już wszystko? – upewnił się Giovanni.

– Jeszcze data. Dokładna. Miesiąc, dzień, godzina – odparł Federico.

– Skąd ją weźmiemy?

Federico przewrócił oczami.

– Może ci się przyśni, Giovanni – powiedział zjadliwie.

– Jeśli nie, to nie przeszkadzaj, bardzo cię proszę. To nasza jedyna szansa na uratowanie rodzinnego majątku.

– Pomoże mi pan mecenas? – zapytał głos kustosza. – Skrzynia jest ciężka.

\*\*\*

Wieczór kładł granatowe cienie na południową ścianę dworku. Dęby skupiły się w półmroku na własnych tajemnicach, powietrze przecinały szybkostrzydłe nietoperze.

W blask żółtego światła wkroczyli Adam Dąbrowa i Maurycy Podrecki. Ze skrzynią w rękach skierowali się do zaparkowanego przed werandą mercedesa.

Kustosz otworzył

bagażnik, dźwignęli ciężar do środka.

– Wie pan, co to za instrumenty? – zapytał prawnik.

– Zbadamy je w muzeum.

– To astrolabium, torquetum i libella. Są dużo warte.

Podrecki wsunął oba sztychy na tylne siedzenie.

– Zna się pan na renesansowej astronomii? – zapytał obojętnym tonem.

– Trochę.

Adam Dąbrowa już w salonie zauważył, z jakim napięciem kustosz domagał się wydania spadku. Domyślał się, że przedmioty mają dla niego większe znaczenie, niż pragnie ujawnić.

– Potrafiłby pan je zastosować? – drażył Podrecki.

– Dokonać pomiarów astronomicznych?

Kustosz w napięciu pokiwał głową.

– W jakim celu? – odpowiedział pytaniem prawnik.

Na twarzy jego rozmówcy pojawiło się wahanie. Gdyby udało się wykorzystać wiedzę mecenas, być może skróciłoby to drogę do skarbu. Nie, nie mogą

posunąć się zbyt daleko bez ryzyka ujawnienia prawdy, zdecydował. Wyciągnął rękę, na twarz przywołał grymas uśmiechu.

– Pytam z ciekawości historyka sztuki. Dziękuję i do zobaczenia.

Uścisnęli sobie dłonie.

Kustosz wszedł do samochodu, włożył kluczyk do stacyjki. Adam Dąbrowa nie spuszczał z niego wzroku.

– To nie byłoby trudne – powiedział powoli. – Ale bezcelowe. Mamy teraz nowocześniejsze narzędzia.

– Oczywiście. Jeszcze raz do widzenia, panie mecenasie.

Silnik zakrztusił się dwukrotnie, ale za trzecim podejściem odpalił. Mercedes odjechał szybko, jakby jego właściciel uciekał przed dalszymi pytaniami.

Dąbrowa odprowadził go wzrokiem, a potem ruszył z powrotem do dworku.

\*\*\*

Złoty hyundai van i czerwone mitsubishi podążały szosą w stronę ciemnego nieba na wschodzie. Zza długiego pasma fioletowych chmur wysunął się pomarańczowy księżyc. Pofalowane łąki i zagajniki powoli zanurzały się w mroku.

Pasażerowie obu samochodów byli obojętni na otaczające ich piękno; od wyjazdu z dworku nie zamienili ani słowa. Prowadzący hyundaia Zenon sięgnął do radia, aby zmienić stację, w której zaczęły się wiadomości.

– Zostaw !– warknęła ostrzegawczo Lusia.

Była to powtarzająca się konfrontacja: Zenon nie cierpiał polityki, jego żona uważała, że tylko idioci nie są poinformowani o sprawach tego świata.

– Gdyby wybuchł kryzys albo wojna, ty byś się dowiedział ostatni – mawiała, przełączając telewizor na program informacyjny.

Zenon zwykle powoływał się na wiadomości wysłuchane godzinę wcześniej i ustępował po kilku minutach kłótni. Tym razem bez słowa cofnął dłoń.

W aucie przez chwilę panowała ciężka cisza.

– To wszystko twoja wina – stwierdziła Lusia, z nieruchomym wzrokiem utkwionym w przedniej szybie.

– No wiesz, coś takiego! Moja? – zaprotestował z oburzeniem. – Niby jak, jeśli mogę zapytać?

Odwróciła się do niego ze złością.

– Ile razy mówiłam: „Jedźmy do tej starej wariatki”? No, ile? – zapytała z goryczą.

– Do Zofii?

– Nie, do świętej Felicji! Prosiłam: pojedźmy, bądźmy dla niej mili. Nie wiadomo, jak długo pociągnie. Ale nie,

ty zawsze miałaś coś ważniejszego! A to twoja zakichana ciotka, nie moja! No to teraz masz! Ewa była mądrzejsza, wszystko wyrwała. Rękę dam sobie uciąć, że przylatywała do starej co miesiąc! Robiła jej wodę z mózgu. Całą rękę!

Z pasją zademonstrowała odcinanie kończyny.

Zenon patrzył na ten pokaz przestraszony, jakby spodziewał się zgrzytu kości i chlustania krwi.

– Nie przesadzaj... – zaprotestował niepewnie.

– Wiem, co mówię! – parsknęła Lusia. – Ale, kochany, będziesz musiał naprawić swoje błędy.

– Niby jak?

O dziwo, Lusia nie miała gotowej odpowiedzi.

– Zawsze mówiłam... Ta twoja rodzinka – stwierdziła wymijająco – była i jest chora.

– Może porozmawiajmy o twojej? – zaproponował Zenon.

Głos jego żony zabrzmiał śpiewnie i drwiąco.

– Moja, kochany, nie ma wielkopańskich pretensji. To byli i są ciężko pracujący normalni ludzie.

– Socjalistka!

– Hrabia od siedmiu boleści! Arystokraci dziedziczą gen pychy i egoizmu!

– Ja przecież...

– Ty masz szczęście, że na mnie trafiłeś! – przerwała mu Lusia.

Zamilkli oboje, przepełnieni wzajemną urazą i poczuciem nieprzyjemnej pustki. Pomimo trzydziestu lat walk, żadne z nich nie wypracowało ochronnego pancerza na ciosy przeciwnika.

W czerwonym mitsubishi panowała cisza. Młodzi małżonkowie instynktownie odwlekali bolesne starcie.

– No powiedz to, słucham – przerwała wreszcie milczenie Daria.

– Nic nie mówiłem – odparł Robert sucho.

– Słyszę te twoje myśli!

– Nie przesadzaj.

Na chwilę zapadło milczenie.

– Zawsze wiedziałem, że te wasze mrzonki o bogactwie to czyste bzdury – podjął Robert.

– Gównu wiedziałeś! – stwierdziła z satysfakcją Daria.

– Ożeniłeś się ze mną dla tych mrzonek. A może teraz chcesz się rozwieść? No, choć raz zdobądź się na szczerłość!

W jej głosie zabrzmiała niebezpieczna nuta, coś pomiędzy wściekłością a płaczem.

Robert milczał z satysfakcją w oczach. Daria sama wystawiła się na strzał, więc brak odpowiedzi był najlepszym posunięciem.

Jego żona opanowała się jednak i nabrała powietrza przed następną rundą.

W ataku przeszkodził jej dzwonek telefonu. Robert wyciągnął aparat ze schowka, odebrał połączenie.

– Halo! – rzucił tonem mężczyzny panującego nad sytuacją. Po chwili jego pewność siebie zastąpił niepokój. – Proszę się uspokoić. To nie nasza wina, że ktoś na pana napadł. Co? Nie, panie Kurdyk, mówiłem już panu. Nie należą się panu pieniądze. Nie dostarczył pan obrazu!

Z komórki dobiegał stłumiony wrzask. Robert musiał odsunąć telefon od ucha.

– Niech pan na mnie nie krzyczy! – wołał głos Kurdyka. – Ja też potrafię krzyczeć! A jak nie dostanę forsy, to idę na policję!

Robert poczerwieniał ze złości.

– Nie szantażuj mnie, bo mogę tak zadziałać, że wyłądujesz za kratkami, gnoju!

Rozumiemy się?

Z pasją wyłączył telefon i odrzucił go na tylne siedzenie.

– Nie odczepi się – stwierdziła Daria.

Rozmowa z Kurdykiem zjednoczyła ich na moment. Wspólni wrogowie cementują małżeństwa.

– Może coś mu zapłacić? – zastanowił się Robert pojednawczo.

– Zwariowałeś? Tylko tego brakowało! – zaprotestowała Daria.

Twarz Roberta miała zacięty wyraz człowieka oszukanego.

– Musimy mieć ten portret Ossolińskiego! – rzucił z pasją. – Pamiętam, co powiedziała kiedyś Zofia. Że nikt nie zdaje sobie sprawy z jego prawdziwej wartości.

– I podarowała go Ewie – zauważyła gorzko Daria.

– Znajdzie się sposób – dodała z przekonaniem. – A nawiasem mówiąc, skąd ty wytrzasnąłeś tego Kurdyka? Ten facet to pomyłka.